DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 1 października, 1888 r. — Nr. 28.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

Tak jest, mogła sią na niego spuścić w rzeczy samej. Troszczył się o wszystko cicho, spokojnie, nie mówiąc wiele, z prostotą we wszystkiem, odpowiadającą celowi, jak gdyby to, co robił, było zupełnie naturalną, należącą doń powinnością.

A czem ona wszystkie te względy i troskliwość odpłacała?

Gospodarstwo prowadziła wzorowo, towarzystwo i obecność męża znosiła mniej, lub więcej cierpliwie; nie kokietowała nigdy żadnego innego mężczyzny, a wreszcie obdarowała go ślicznym, zdrowym chłopczykiem

Ależ nie, ona mu go nawet nie darowała. Zatrzymała go zazdrośnie dla siebie, niechętnie patrząc na pieszczoty, jakiemi chłopiec ukochanego ojca obdarzał. Psuła i pieściła jedynaka, chcąc sobie zaskarbić łaski i pierwsze miejsce w dziecięcem jego serduszku, ale pomimo to chłopiec kochał więcej surowszego, ale dobrego ojczulka, któremu na skinienie był posłuszny, od matki, z którą wszystko, co chciał, z łatwością zrobić się dało. Wszystko to przypominała sobie teraz nie bez pewnego gorzkiego uczucia

Kiedy przeszłego roku otrzymała willę Erlach, jako niespodziewaną po dziadku sukcesyą, postanowiła położyć koniec koczującemu życiu żony wojskowego. Nie mając najmniejszych dla męża względów, zmusiła go prawie do wzięcia dymisyi, nie troszcząc się bynajmniej, czy nowy sposób życia tak sprzeczny ze wszystkiemi jego nawyknieniami przypadnie mu do gustu.

A łagodne światło księżyca rzucało ukośne swe promienie coraz jaśniej i jaśniej, dopóki nie rozświeciło najgłębszych zakątków jej serca, a w duszy zadźwięczały kilkakrotnie już powtarzane wyrazy:

„Jeżeli potknę się kiedy i utonę w bagnie, jeżeli skończę, jak Franciszek Meineck, będziesz miała przynajmniej tę pociechę, żeś w własnem swem mniemaniu zawsze względem mnie spełniała swój obowiązek.“

— Spełniałam przecież zawsze swe względem niego obowiązki, powtarzała sobie z rozpaczliwym uporem, którym ulatujące złudzenie przytrzymać chciała.

Przebiega ją nerwowe drzenie, rozpaloną twarzyczkę przyciska do poduszki. wybuchając gwałtownem łkaniem. Ten bezgraniczny, upokarzający egoizm, jaki w całem jej z mężem postępowaniu przebijał, ma teraz przed oczyma i dręczą ją przykre wyrzuty sumienia.

Jakim sposobem tego dojrzeć nie mogła, że zamiast rozsądnej przyjaźni on gorącą miłość miał w sercu? Teraz przypomina sobie różne, drobne, nieśmiałe dowody przywiązania, na które przedtem nie zwracała uwagi. Dla czego go nie zrozumiała? dla czego w jej sercu nie było w zamian ani iskierki uczucia? Lica jej płoną ze wstydu, a oczy zachodzą łzami, które niewczesny żal sprowadza. Dla czego wyrzucała mężowi, że on nie może zapomnieć swej dawnej miłości, podczas kiedy ona tym samym grzechem zmazana? Na dnie jej biurka spoczywa dotąd zczerniała gardenia, którą zniszczyć przechodziło jej siły. Szybko wybiega z łóżka, zapala świecę i wkrótce z relikwii minionej miłości pozostała tylko garstka popiołu. Kiedy po dokonanym czynie przycisnęła bijące skronie do chłodnej, białej poduszki, ostrzegający promień znikł ze ściany i brzaski pogodnego, zimowego poranka rozproszyły ostatnie cienie tej tak niespokojnie spędzonej nocy.

W tej samej chwili dźwięczny głos dzwonów pobliskiego kościoła, zwołujący na mszę poranną, dolatuje uszu Katty, kołysząc ją do snu jakąś niezrozumiałą pieśnią. Musiała jednak mowę jego pojąć ta młoda, na dobrą drogę wstępująca kobieta, bo uspokojona po gorącej ze sobą walce zasnęła smacznie ze szczerą modlitwą na ustach, a jeszcze szczerszą w gotowem i usposobionem do kochania sercu.

ROZDZIAŁ XXXIII.

— Ojczulek zaspał, odzywa się Fredy następnego dnia przy śniadaniu, przerywając pierwszy ogólne milczenie. Jest bardzo leniwy, dodaję, patrząc na opróżnione miejsce rotmistrza przy stole. Śniadanie ma się ku końcowi. Fredzio wypił już zwykłą swą porcyą mleka; Rohritz i nauczyciel są przy drugiej szklance herbaty, a zwykle tak punktualnego pana domu jeszcze dotąd nie ma.

— Dzieciom nie wypada robić podobnych uwag o ojcu, napomina synka zwykle w takich razach bardzo pobłażliwa matka. Idź lepiej do tatki i powiedz, że go pytam, czy się nie zaziębił wczoraj i czy nie chce u siebie wypić herbaty?

W dwie minuty później ukazuje się we drzwiach jadalnej sali wesoła twarzyczka powracającego Fredzia.

— Tatka kazał powiedzieć, że jest tylko mocno zakatarzony, ale że zaraz przyjdzie, oznajmia uszczęśliwiony.

Rzeczywiście na korytarzu słychać głośny kaszel rotmistrza, postępującego za swoim małym, ładnym poprzednikiem.

— Sądziłam, żeś niezdrów, i chciałam posłać ci śniadanie, odzywa się Katty z nieśmiałą, jakby wymuszoną serdecznością.

— Czy tak? bardzo to uprzejmie z twej strony, odpowiada mocno zachrypłym głosem, ale zupełnie zbytecznie.

— Widocznie jednak musiałeś się zaziębić? wtrąca się Rohritz, chcąc położyć koniec drażliwej między małżonkami rozmowie.

— Niewiele sobie z tego robię. Ale w rzeczy samej wczoraj — ponieważ było bardzo ciemno na dworze — zabłądziłem i wpadłem w jakąś śnieżną zaspę; gdzieś, blizko kamiennych łomów. Katty, czy mogę cię prosić o herbatę?

— Kazałam świeżej naparzyć, bo ta byłaby niesmaczna. Zaczekaj chwileczkę.

Rotmistrz chce coś odpowiedzieć, ale gwałtowny kaszel tamuje mu mowę.

— Tatka szczeka dziś, jak Hektor na pełni księżyca, zauważył Fredzio humorystycznie.

Katty marszczy czoło z niezadowoleniem. Dla czego dziś dopiero Fredy wydaje jej się tak strasznie rozpieszczonem, źle wychowanem dzieckiem?

— Już ci dziś raz zwróciłam uwagę, że nie wypada w podobny sposób odzywać się o ojcu, mówi dosyć surowym głosem.

— Zostaw go, ojciec już wie, co ma o tem sądzić, odpowiada rotmistrz, zwracając się więcej do siedzącego obok synka, niż do żony. Wszak pomimo to kochasz tatkę, nieprawdaż?

— I jak jeszcze... woła malec, tuląc się do niego. I jak!... Dziwi go to niewymownie, jak ojciec mógł powątpiewać, lub niewiedzieć o jego gorącej miłości. Leskjewitz z synkiem bawi się i rozmawia w dalszym ciągu wesoło, do żony nie zwraca się ani razu.

Już dawno po śniadaniu i Katty od godziny przeszło siedzi w swoim pokoju z robotą, którą z roztargnieniem trzyma na kolanach. Cała jej uwaga zwrócona jest na przeciwległe drzwi, około których lada chwila spodziewa się usłyszeć zbliżające się kroki męża. Ale kwadrans, pół godziny upływa na daremnem oczekiwaniu, serce jej bije gwałtownie, a oczy zachodzą łzami. Nareszcie, nie mogąc już czekać dłużej, odrzuca robotę i z wysoko podniesioną głową, nie patrząc na prawo, ani na lewo, przebiega szybkim krokiem korytarz, zwracając się do pokoju męża. U progu waha się, ale tylko chwileczkę, następnie odważnie naciska klamkę i wchodzi. Czy tylko zastanie go u siebie? O! tak, na szczęście stoi przy oknie, patrząc na roztaczający się przed nim krajobraz zimowy. Leskjewitz odwraca się ze zdziwieniem, słysząc chód żony, który wśród tysiąca rozróżnić jest w stanie.

— Czy życzysz sobie czego? zapytuje oschle.

— Nie — odpowiada niepewno, nieśmiało.

Rotmistrz odwraca się znowu do okna.

— Czemu się przypatrujesz z taką wytrwałością? odzywa się Katty, chcąc koniecznie zawiązać rozmowę. Czy jest tam coś szczególnie godnego widzenia?

— Nie, odparł. Ale jeżeli w pokoju nic jest, jakby się tego pragnęło, to wtenczas wygląda się oknem choćby tylko dla chwilowej rozrywki.

Następuje milczenie kłopotliwe dla obojga!

— Cóż mu mam powiedzieć i co mu mogę powiedzieć? myśli Katty z coraz większym niepokojem. Krew uderza jej do głowy, stoi, jakby wrośnięta, na miejscu, nie śmiejąc zrobić kroku. Nareszcie po chwili zaczyna na pozor zupełnie obojętnym głosem:

— Pierwszy to raz, że zapomniałeś o rocznicy naszego ślubu, Janie? Dziwny to przypadek, nieprawdaż?

— Bardzo, odpowiada z gryzącą ironią w głosie.

Znowu milczenie. Zawstydzona Katty chce się wysunąć z pokoju, ale w tej samej chwili rotmistrz znowu odwraca ku niej głowę:

— Nie zapomniałem, o! nie. Ja nigdy o takich rzeczach nie zapominam i jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć, to powiem ci, że sposobiłem nawet coroczną niespodziankę dla ciebie, pamiątkę rocznicy naszego ślubu, ale w ostatniej chwili cofnąłem pierwotny zamiar....

— Dla czego?

— Dla czego? O! tę odpowiedź kobieta z twojemi zdolnościami sama odgadnąć powinna. Dla tego, że, ponieważ ośm razy wyśmiałaś szczere dowody mojej pamięci, więc nie chciałem być po raz dziewiąty przedmiotem twego szyderstwa i śmiechu.

— Dziś jednakże nie mam ochoty do żartów, odpowiada poważnie, zbliżając się o kilka kroków do męża.

— Czy tak? Hm! w takim razie weź tę paczkę, która leży na biurku. Jest to fotografia Fredzia i zdaje mi się, że doskonale wypadła.

Katty otwiera szybko wieko małego pudełeczka i z radosnym uśmiechem spogląda na swego chłopca. W rzeczy samej Fredzio wygląda nader ładnie ze swoją śmiałą, trochę wyzywającą twarzyczką, w barankowej czapeczce na kędzierzawych włoskach, z rączką dumnie na boku podpartą.

Jakie śliczne mamy dziecko! mówi wesoło, uśmiechając się do trzymanej w ręku fotografii, skromnie, ale gustownie oprawnej.

— Mamy? szepnął rotmistrz sarkastycznie. Jesteś dziś bajecznie łaskawą, bo do tego czasu mówiłaś zawsze o Fredziu, jak gdyby był twoją wyłączną własnością.

Katty rumieni się trochę. — Robi się do ciebie podobnym, odparła, nie zwracając widocznej na powyższe słowa uwagi.

— Tak jest, to szkoda.

— Zrobiłbyś lepiej, usiadłszy przy kominku, zamiast marznąć przy oknie. Nabawisz się tylko większego bólu gardła i kataru.

— Ogień wygasł, a siedzieć przy zimnym popiele, nie przedstawia wielkiej przyjemności.

— Powinieneś był ogień na nowo rozpalić.

— Próbowałem, odparł, kładąc dziwny nacisk na wyrazy. Próbowałem, ale mi się próba nie udała.

— Doprawdy? mówi z figlarnym uśmiechem, zapominając urazy. W takim razie wziąłeś się do tego niezręcznie, bo jeżeli się nie mylę, to pod popiołem jest jeszcze dosyć rozżarzonych węgli, żeby ich więcej do podpalenia Rzymu nie było potrzeba. Ale zaraz się o tem sami przekonać możemy.

To mówiąc, klęka przy kominku, zgarnia razem czerwone jeszcze węgle i kładzie na nich kilka kawałków drzewa z prawdziwą znajomością tej sztuki. W kilka minut później słychać wesołe trzeszczenie i jasne płomyki ognia odbijają się na szklącej posadzce.

— Janie, odzywa się Katty miękkim, przyciszonym głosem.

On wstrząsa się cały i szybko odwraca głowę.

— Janie, czy ogień jeszcze nie dość jasno się pali?

On zbliża się do kominka niepewny, czy to sen, czy też rozkoszna rzeczywistość.

— Usiądź teraz, mówi mu Katty, tonem wesołego rozkazu, przysuwając wygodny fotel bliżej ognia. Usiądź i rozgrzej się trochę.

Rotmistrz siada zdziwiony, jeszcze na pół nieśmiało serdecznym uściskiem ręki dziękując jej za starania. Katty klęczy jeszcze u stóp jego, a światło kominkowe zróżo-

wia bardziej świeżą jej twarzyczkę i połyskuje na złotych, grubych warkoczach. Oddycha niespokojnie, jak ktoś, któremu coś na sercu dolega, a czego wypowiedzieć nie może. Ułożyła sobie przecież tyle ładnych zdań, tyle wyrazów prośby i pojednania, a teraz, kiedy potrzeba, żadne nie przychodzi jej na usta. Wtem słychać dzwonek, zwołujący na drugie śniadanie. Mój Boże! czyż ta obecna chwila przejdzie, a pojednanie jeszcze nie nastąpi?

Milczą oboje, a drzewo na kominku trzaska wesoło, rzucając kłęby złotych iskier dokoła. Katty klęczy zawsze jeszcze przy ogniu, a serce biednej kobiety ściska się coraz większym niepokojem. Nagle przechyla szybko w tył głowę i odrzucając tę słodycz, którą dotąd miała przygotowaną w zapasie, woła przez łzy z błyszczącemi od gniewu oczyma:

— Na cóż czekasz jeszcze? Jak długo chcesz moje życzenia zgadywać?

— Och! Katty! moja ukochana, szorstka żoneczko! wykrzykuje Leskjewitz, tuląc ją w objęciach z miłością. Teraz wiem nareszcie, że to nie złudzenie, które mnie swym czarem jeszcze więcej dręczyć przyszło!

Na korytarzu słychać drobne, dobrze im znane kroki. Oboje zrywają się z pospiechem, widząc w napół otwartych drzwiach okrągłą figurkę Fredzia.

— Śniadanie ostygnie, napomina ich mały tyran z powagą.

— Gdyby tylko wojny nie było, odzywa się zakłopotana Katty, kiedy wieczorem o szarej godzinie we dwoje w salonie siedzieli.

Skąd ci ta myśl do głowy przyszła? pyta rotmistrz zdziwiony.

— Stąd, że chciałabym cię prosić, żebyś na nowo wstąpił do wojska, gdybym się tak bardzo nowej wojennej wyprawy nie obawiała.

— Niech to nie wchodzi w rachubę, odparł z uśmiechem. Jakbądź, w razie wojny podążyłbym natychmiast na plac boju i nawet tybyś mego postanowienia zmienić nie mogła. Ale powiedz, czybyś się naprawdę zgodziła, czy miałabyś tę odwagę, Katty?

— Czybym ją miała? Wprawdzie rozłączenie z chłopcem nie tak łatwo mi przyjdzie, ale i tak prędzej, czy później do kadetów oddać go musimy. Jednakże nieby mi więcej nie sprawiało przykrości, jak widzieć ciebie pędzącego takie bezczynne życie.

— Więc chcesz naprawdę, Katty? Chcesz dobrowolnie skazać się na te przykrości i niewygody, jakie koczujące życie wymaga?

— Naturalnie, chcę, zapewnia go Katty poważnie, z serdecznym wyrazem swych dużych, ciemnych oczu. Zobaczysz jakie przyjemne gniazdko, choćby w najokropniejszej węgierskiej wsi, urządzić ci potrafię.

— Aniele mój drogi! szepnął, przyciskając do ust jej małą, miękką rączkę. Nie uwierzysz, jak żałuję, żeśmy przez dziewięć lat napróżno tyle czasu stracili.

— Zapewne... szkoda!... ale *mieux vaut tard que jamais*, nie prawdaż?

W tej chwili wchodzi Rohritz do salonu, aby wypić swą codzienną wieczorną filiżankę herbaty. Na wstępie robi dwie bardzo słuszne uwagi; pierwsza, że małżeństwo, zatopione w rozmowie, lampy zapomniało kazać zapalić, po drugie, że wejście jego przerwało natychmiast dosyć ożywioną rozmowę; czyli summa summarum, że po raz pierwszy przeszkadza.

— Zapewne chcesz herbaty, baronie, odzywa się Katty do wchodzącego z uśmiechem, a ja na śmierć o niej zapomniałam. Zadzwoń na służącego, Janie.

Zanim wieczor upłynął, doszedł już Rohritz do wniosku, że pożycie z nowo pojednanem małżeństwem jest o wiele mniej zajmujące, aniżeli z mniej szczęśliwą parą i z tego to powodu wyjechał już następnego dnia z willi Erlach, spiesząc pomiędzy inne osoby i stosunki.

ROZDZIAŁ XXXIV.

W wykwintnym budoarze Teresy Rohritz zastajemy najbliższe kółko rodzinne na ożywionej między sobą gawędce: właścicielkę tego miłego zakątka z mężem, Cina i Edgara, który wczoraj ku wielkiemu zdziwieniu braterstwa przybył do Paryża i zdecydował się nareszcie zamieszkać pod gościnnym dachem Rohritzów.

Teresa więcej jeszcze, niż zazwyczaj, znużona, leży na szezlongu. Owinięta dużym, białym szalem, drzy pomimo to, jak we febrze, i kaszle bezustannie, słowem jest zaatakowana silną chrypką i katarem. Z całą swą zwykłą żywością dysputuje z mężem, czy zaziębiła się, jak on twierdzi, w poniedziałek w Bon marché, czy też, jak sama utrzymuje, we wtorek w jego fumoarze.

— W moim fumoarze nikt się zaziębić nie może, gdyż jest to jedyny pokój w całym domu, gdzie panuje zdrowa temperatura, oburza się Edmund Rohritz.

— Osądź ty, Edgarze, bo od Cina nigdy nic rozsądnego dowiedzieć się nie można. Zresztą zaraz wam opowiem, jak to było. Przedwczoraj, w poniedziałek, była ogłoszona wyprzedaż wschodnich dywanów w Bon marché; pomimo okropnej niepogody żona moja wybiera się...

— Dodaj przynajmniej, że wybrałam się w hermetycznie zamkniętej karecie, broni się Teresa z żywością.

— Ba; wilgotne powietrze i do powozu dostać się może. Koniec końcem — pani moja pędzi formalnie na ulicę du Bac, nie kupuje dywanów, ale za to tuzin parasoli od deszczu i wraca w takim stanie zmęczenia, że ją po schodach do pomieszkania wnieść musiałem. A teraz utrzymuje, że powodem tej chrypki jest mój fumoar — ha! trudno w to uwierzyć doprawdy. Przy tych słowach zaczyna z energią poruszać węgle na kominku, jak gdyby chciał w inny jeszcze sposób swój gniew obecnym objawić.

— Miej trochę względu na moje nerwy, Edmundzie, odzywa się Teresa błagalnie, zatykając rękoma uszy. Robisz więcej hałasu, niż najgłośniejsza wagnerowska opera. Dwanaście parasoli! Jeżeli chcesz opowiadaniu mego męża dać wiarę, dodaje zwracając się do Edgara, to...

— Mniejsza o to, więc były tylko trzy parasole i sześć słomkowych kapeluszy, przerywa jej zniecierpliwiony małżonek. Ale przy tem obstaję, że wszystkie Paryżanki cierpią na manią kupna okolicznościowego — chociaż choroby tej w podobnie rozwiniętym stopniu, jak u ciebie, u żadnej innej kobiety jeszcze nie spotkałem. Moja żona kupuje wszystko, wszystko, co tylko na wyprzedażach dostać można; stare żelaztwo, nowe plany Paryża, hafty, zegary w stylu rokoko, flakony z górskiego kryształu na ślubne podarki dla ludzi, którzy się jeszcze nie zaręczyli i chrzestne podarunki dla dzieci, które jeszcze na świat nie przyszły.

— A propos ślubnych podarków — odzywa się Teresa z namysłem — jak sądzisz, Cino, czy lustro ze szkła weneckiego, które przeszłego roku kupiłam, będzie stosownym ślubnym podarkiem dla Stelli?

— Czy jest zaręczoną? zapytuje Cino z całą swobodą.

— Prawie, zapewnia go Teresa.

— Proszę!... i z kim? pyta, siadając na fotelu z rękoma w kieszeniach i założonemi na krzyż nogami.

— Z Arturem de Hauterive, świetna partya.

— Cabonat de Hauterive! szepce książę z ironią, kręcąc wąsy i wysuwając nogi przed siebie. Wiem, o kim mówisz, Sasa. Tak, świetna partya, jeżeli chcesz, a jednak zawsze jeszcze wiele pozostawia do życzenia.

— Ciekawam, co mu masz do zarzucenia? zapytuje Teresa prawie gniewnie.

Cino wzrusza ramionami za całą odpowiedź. Uważa za rzecz zupełnie zbyteczną objaśnić bliżej swoję o *monsieur* Cabonat opinią.

— Przede wszystkiem nie jest *gentlemanem*, objaśnia ją Edmund Rohritz niedbale.

— Czysty chłop, odpowiada Cino z pogardą.

— Pozwólcie mi zadać jedno pytanie, odzywa się nagle Edgar, który dotąd w milczeniu przyglądał się foto-

grafiom swych małych siostrzeńców. Czy panna Meineck zgodziła się na tę partyą?

— Tak jest, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, odparł Edmund; nie spodziewałem się tego po niej, co prawda

— Nie przyszło mi tak łatwo nakłonić ją do tego, odezwała się Teresa, i zawdzięczam jedynie mojemu *savoir faire* to pomyślne zakończenie rzeczy. Czy nie masz jakiej skłonności do kogo innego? zapytałam wczoraj Stellę, oznajmiwszy jej, że *monsieur* de Hauterive gotów złożyć u jej stóp swą osobę i miliony. Bo trzeba wam wiedzieć, że Hauterive prosił mię o tę rozmowę dla otrzymania jakiej pewności, zanim się sam oświadczy.

— I cóż odpowiedziała Stella? zapytuje Cino ciekawie.

— Widziałam, że zadrzała i zbladła mocno.

— Drogie dziecię, zawołałam wtenczas, że masz dla kogoś jaką maleńką słabostkę, to się samo przez się rozumie i wcale nie wchodzi w rachubę. Każda z nas wzdychała do człowieka na księżycu, więc mnie chodzi tylko o to, czy się w kim kochasz ze wzajemnością i czy możesz mieć nadzieję, że się ten ktoś z tobą prędzej, lub później ożeni?

— Nie, odparła stanowczo.

— W takim razie nie wahaj się ani chwili, drogie dziecię, zawołałam, i korzystając z jej milczenia, zaczęłam tłomaczyć jej położenie, dodając, że byłoby zbrodnią odrzucać podobnie świetną partyą. Nie masz majątku, mówiłam, chcąc jej trafić do przekonania i chcesz występować na scenie. Daruj moję szczerość, ale jest to głupstwo, bo podobny zawód jest niemożliwy dla młodej dziewczyny z twojemi zasadami i zapatrywaniami. Zastanów się więc tylko nad twoją przyszłością! Niewielki mająteczek, jaki posiadasz, wyczerpie się niezadługo, o czem sama pewno wiesz najlepiej, a książęta teraz tylko w bajkach się zjawiają. Masz więc dwie drogi do wyboru, zarabiać lekcyami śpiewu na chleb codzienny, albo zostać nauczycielką. Ponieważ jednak nie chciałabyś się rozłączać z matką, więc prawdopodobnie wybierzesz sobie ten pierwszy sposób utrzymania. Wystaw sobie teraz podobne położenie: zimno, czy deszcz, będziesz musiała biegać po rozmaitych ulicach miasta, przez ramie od służby traktowana, męczona bezustannie brakiem zdolności swoich uczniów i uczennic. Nigdy żadnej przyjemności, oprócz jakiego wspaniałomyślnie od czasu do czasu ofiarowanego biletu do teatru, jednem słowem, nędzne życie, podtrzymywane jałmużną kilku więcej przywiązanych uczennic. Przeciwnie, jeżeli przyjmiesz rękę pana de Hauterive, cóż za godną zazdrości przyszłość masz przed sobą. Możesz dopomagać siostrze i zapewnić matce przyjemną i bez troski starość, a sama nie potrzebujesz nic dać w zamian, jak trochę uprzejmości i serdeczności w obejściu z mężem i dopomodz mu z wrodzonym sobie taktem i wdziękiem w prowadzeniu jednego z najpierwszych domów w stolicy. Pomyśl tylko, *qu'il n'ya pas à hésiter*, *mon bijou*.

Obecni słuchali tego opowiadania w milczeniu; Edmund ze zmarszczonem czołem, Cino z napół ironicznym uśmiechem, jaki nawet w najtragiczniejszych sytuacyach z pięknych jego ust nie schodził, a z twarzy Edgara nic odgadnąć nie było można, gdyż na pozór przynajmniej całą jego uwagę pochłaniał ogień, płonący na marmurowym kominku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O! pomyśl o mnie.

O! pomyśl o mnie, gdy od Ciebie zdala
W tęschnocie długie przebywam godziny,
Do serca bólu gdy nadpłynie fala,
O! pomyśl wtenczas o mnie, mój jedyny.

O! pomyśl o mnie, gdy w wieczornym zmroku
Samotna błądzę z Twym obrazem w duszy,
Księżyc ciekawie patrzy się z obłoku,
I wietrzyk szmerem me westchnienia głuszy.

I samowładnie obraz ten w pamięci
Ponad ponęty wszelkie, blask i chwałę
Króluje jeden i czarem swym nęci,
Rozum i serce chce ujarzmić całe.

O! myśl Ty o mnie, gdy strumyk Twe imię
Szemrze mi z cicha — gdy w gwiazd jasnym blasku
Widzę ócz dwoje — gdy na białym piasku
Kreślę litery dwie!... lub kiedy w rymie

Uczuć wezbranych wylewam kaskadę!...
Kiedy mi smutno, kiedy mi wesoło,
Gdy w duchu laurem wieńczę Twoje blade,
Rozumne, myślą uznojone czoło.

O! pomyśl o mnie, gdy z rodzinnej ziemi
Pójdę w nieznany świat z piętnem sieroty
Pędzić tułacze dni między obcymi,
Kędy nadziei zagasł promień złoty.

O! pomyśl o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Gdy martwa spocznę w zimnym, ciasnym grobie,
Bo duchem jeszcze ja będę przy Tobie,
Cicho popłynę w ślady Twoje.... wszędzie!

A gdy się cyprys rozwinie zielony,
Róża zakwitnie na smętnej mogile
I krzyż ją swemi utuli ramiony,
Spocznij w ich cieniu i... pomódl się chwilę.

Ola.

29. VII.

Jeszcze słówko o tegoczesnych stosunkach społecznych.

II.

W artykule podanym w 10 i 11 num. „Domu Polskiego“ przedstawiliśmy obraz b o g a c z y, którzy bez żadnej osobistej zasługi używają wszelkich rozkoszy tego świata, p r o l e t a r y u s z ó w, skazanych na zmarnowanie życia, przeciężonego pracą i niedostatkiem, i p r a c o w n i k ó w d u c h a, których zbyt wielkie współzawodnictwo wykoleja.

Pierwsze pytanie, które nam się przy tym obrazie nasuwa, jest: czy to są skutki niezmiennego prawa przyrody, czy też tylko skutki ludzkiej nieoględności? Z jakich to źródeł czerpie ta mała część ludności swe ogromne bogactwa, a czemu miliony ludzi marnieją w nędzy i pracy nad siły?

Przypatrzmy się zatem bliżej tej strasznej nierówności stosunków społecznych. Ogromne majątki albo bywają odziedziczone po przodkach, lub też powstają przez handel, spekulacyą, wreszcie przemysł, prowadzony na wielką skalę. Przypadki, że ktoś odkryje kopalnie złota, srebra, lub źródła nafty, i — dzięki prawom o własności — dla siebie je zatrzymuje, zbyt są rzadkie, aby je tu można wciągać w rachubę. Mogą chyba służyć za dowód przeciwko sofistycznym twierdzeniom niektórych pisarzy o ekonomii politycznej, że kapitał jest zawsze owocem pracy.

Ogromne majątki, składające się z posiadłości ziemskich, odziedziczają zwykle potomkowie bez najmniejszej z swej

strony zasługi. Wartość dóbr i dochody z nich wzrastają w miarę krzewiącej się cywilizacyi, przez co wszystkie płody ziemskie daleko wyższej nabierają ceny. Ten prąd podwyższenia cen żywności czyni przemysłowców coraz uboższymi, a posiedzicieli ziemskich zbogaca. Tamten musi coraz więcej pracować, aby konieczne do utrzymania życia potrzeby osięgnąć, ten tutaj bez najmniejszej osobistej zasługi zbogaca się coraz bardziej. A wszystko to jest skutkiem wadliwej organizacyi społeczeństwa, które ziemię, tę przyrodzoną, własność całej ludzkości, oddaje w rękę jednostek, a w wielkich miastach miliony proletaryuszów, ze wszystkiego wydziedziczonych, nagromadza.

Nowe majątki wytwarza handel, spekulacya i przemysł.

Uczciwy handel, to jest taki, który pośredniczy pomiędzy producentami a konsumentami i za to pośrednictwo małym się zyskiem zadowala, w naszych czasach znacznie zbogacać nie może dla zbyt wielkiej konkurencyi. Wielkie, ale nieuczciwe zyski może kupiec w tym tylko razie osięgnąć, jeśli mu się uda sparaliżować, lub przynajmniej osłabić wolną konkurencyą.

Również kupiec, który zdobywa towary wśród rozmaitych niebezpieczeństw w głębi Afryki, lub u dzikich ludów Azyi, może na nich ogromnie wiele zyskiwać, bo mało jest jeszcze takich ludzi, którzy się odważają na podobne przedsiębiorstwa, lecz to długo trwać nie będzie Za lat trzydzieści a może i prędzej wyschnie to źródło bogactwa, bo wtenczas będzie można w głąb' Afryki i Azyi, do Chin i Japonii jechać tak bezpiecznie, jak do każdego kraju w Europie, a przy handlu słoniową kością w Afryce, lub bawełną itp. płodami w Azyi nie będzie w skutek wzmagającej się konkurencyi większego zarobku, jak przy handlu tabaką w pierwszem lepszem naszem miasteczku.

Stosunkowo ogromne zyski powstają, gdy się uda pojedyńczemu kupcowi, lub całemu stowarzyszeniu kupców zmonopolizować jaki koniecznie do życia potrzebny artykuł, tak, że kupujący z ich rąk go tylko otrzymać może, i pozostaje mu jedynie zrzec się tego artykułu, albo zapłacić za niego cenę, jaką owo stowarzyszenie rabusiów położy na niego. Takie postępowanie nie jest już uczciwym handlem, i jest w niektórych krajach, jak n. p. we Francyi, jako grabież, surowo zakazane.

To prowadzi nas do drugiego źródła wielkich bogactw, do... s p e k u l a c y i.

Spekulant jest jednym z najstraszliwszych objawów społeczeństwa tegoczesnego. Jest on tem w ustroju społecznem, co pasożyt w organiźmie zwierzęcem. On sam nic nie produkuje, nie ma nawet zasługi być, jak kupiec, pośrednikiem pomiędzy producentami, a konsumentami, on wydziera po prostu za pomocą przymusu i przebiegłości pracującym większą część ich zarobku i zmusza konsumentów do kupowania tegoż za drogie pieniądze od niego. Broń, jaką on producentów i konsumentów napada, jest podwójną i nazywa się „podwyżka i zniżenie“ (hausse i baisse.) Tej morderczej broni używa on w sposób następujący: gdy zamierza obrabować producenta, to sprzedaje pewnego dnia towary, których nie posiada, za cenę niższą, niż jest na targu i obiecuje je oddać nieco później kupującemu, za kilka dni, tygodni, lub miesięcy. Kupujący woli nabywać potrzebnych mu artykułów od spekulanta, niż od producenta, bo spekulant niższą zadowala się ceną. Producentowi z jego towarem pozostają dwie drogi. Jeśli jest tak zamożnym, że bez szkody czekać może na sprzedaż swoich towarów, wtenczas spekulant nie będzie ich mógł dostać tak tanio na termin wyznaczony, jak się spodziewał, owszem będzie zmuszony dać taką cenę, jaką producent wyznaczy, i z rabusia zamienia się w obrabowanego. Jeśli zaś producent zmuszony jest sprzedać natychmiast swoje towary — a to daleko częściej zdarza — musi obniżać cenę, aby znaleźć kupca, a tym kupcem jest spekulant, u którego konsument już ten towar poprzednio zakupił za dość wyższą cenę.

Takie i t. p. interesa odbywają się zwykle na giełdzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Pominąwszy inne jeszcze legendy i wspomnienia katedry, zwróćmy się teraz w ruiny pobieżnie chociaż, otaczające nas, zewsząd przebiegając świątynię. Tuż przed nimi stoi gmach wzniosły i okazały, olbrzymie mury *Dominikańskie* — kościół św. Mikołaja, czasami w kronikach kościołem św. Augustyna mniej właściwie nazwany. Zamglone i niezgodne z sobą są podania o założeniu tej pięknej świątyni, która dzisiaj, cała ubrana zielenią, majestatyczną poezyą jest otoczoną. Zdaje się, że kościół ten istniał już w XI wieku, że była to bazylika *św. Augustyna* w czysto wschodnim stylu *bizantyńskim*, który w ruinach dziś jeszcze mimo zmian i dodatków późniejszych przeważa. W początkach XIII wieku, około 1225, przybyli tu z Anglii *Dominikanie* — zakon rozgłosu i zasług wielkich na zachodzie. Miasto *Wysby* oddało im Bazylikę, którą, zda się, przebudowali i upiększyli, budując zaraz opodal szerokie gmachy klasztorne, z których nam dzisiaj już tylko bardzo obszerne pozostały podziemia sklepione. *Dominikanie*, zamieszkawszy w *Gotlandyi*, w krótkim czasie do wielkiego doszli znaczenia i wpływu, jako pierwszorzędni apostołowie wiary i wiedzy, jako rozgłośni kaznodzieje i nauczyciele. Szkoły ich słyną po dziś dzień jeszcze pamięcią zasług, jakie krajowi i oświacie jego północnej odddali. W roku 1243 papież *Inocenty* odznaczył nowo powstały klasztor wyjątkowemi przywilejami — zatwierdził donacye, jakie ubogim mnichom na chwałę Bożą i pożytek publiczny zapisywano — i zlecił zarazem apostolstwo na wschodnie brzegi Baltyku, w skutek którego w roku 1246 *Dominikanie gotlandzcy* pospół z zakonami swojej reguły z klasztorów *Sigtuny* i *Skeninge* w *Szwecyi* wysłali swych misyonarzy do *Liflandyi* i założyli klasztor w *Rewlu* pod przewodem słynnego apostoła. *Brata Naneliusa* — przeora z *Wysby.*

Oryginalna to ruina — nie szkielet kościoła, ale kościół w całości niemal — kościół 4000 łokci kw. obszaru, 100 łokci długi, 45 szeroki, kościół bez dachu wprawdzie, ale gdy zaniechali i nie pokryli go ludzie, osłoniła natura! Pokryty dziś ziemią i darnią, krzewami i bluszczem, jakby żywym ogrodem, zabezpieczony sklepieniem, które na silnych spoczywając kolumnach, wieki tak stoi nietknięte. Wchodząc pięknym bizantyńskiego stylu marmurowym portykiem do wnętrza, zachwyceni stajemy przed prześliczną perspektywą tej wspaniałej świątyni, która nam się dzisiaj przedstawia olbrzymią salą, której strop na śmiałych kolumnadach spoczywając, a otworami gdzieniegdzie z góry oświecony, fantastycznym promieniem słońca, albo księżyca, czarującą się dekoracyą wydaje. Nie możemy przy każdej z tych ruin powtarzać szczegółów architektonicznych, wskazywać je z kolei po wszystkich filarach i oknach, uwagę naszę zastanawiając, powtarzalibyśmy się w spostrzeżeniach miejscowych często, rozwlekając zbytecznie. Stojąc w obszernej hali trzyłukowej wśród majestatycznych rzędów tej kolumnady, zwracamy tylko uwagę na wrażenie ogólne, na perspektywę wyjątkowo piękną i na sklepienia rozmaitym stylem fantastycznie powiązane, które są arcydziełem architektury. I tutaj, jak wszędzie, fantastyczna sprzeczność! W zasadniczo zbudowanej bazylice okna gotyckie najwytworniejszej roboty kamiennej w strójlistnym i liliowym rysunku wieków późniejszych. Wśród rzędu kolumn, silnie podtrzymujących sklepienie, spostrzegamy z uczuciem przestrachu z początku kilka widocznie pochylonych, jakoby upadkiem ruinom groziły, aliści silniejsze

od innych są one podobno dzisiaj główną i niewzruszoną sklepień podporą. W czasie przedwiekowej budowy pochylone przypadkiem i podtrzymane sztucznie przetrwają wieki i runą pewno ostatnie. U jednej z kolumn równocześnie z budową wmurowana tarcz marmurowa $1\frac{1}{2}$ długa i 1 łokieć szeroka, pierwotnym gotyckim charakterem wyryta, z napisem *Jakób Tharra*, fundacya jednego z pierwotnych mecenasów budowy. Tuż w pobliżu kamienne wschody, prowadzące ongi ponad sklepienie, niewygodne wprawdzie, ani zbyt dla przychodnia bezpieczne, ale przebywszy je i stanąwszy u szczytu, zda się, że ze zmianą dekoracyi w zaczarowane dostaliśmy się wyżyny. Ponad olbrzymim stoimy kościołem, w zawieszonym wysoko nad kolumnadą i sklepieniami ogrodzie dzikim, którym świątynia ręką matki natury się osłoniła.

Powierzchnia tutaj nierówna, zda się — mogiły, kurchany same, pomiędzy któremi stąpamy ostrożnie. Kroki nasze ponad sklepieniem odzywają się głucho, echem po wnętrzu kościoła się rozlegając. Gdzieniegdzie fantastyczne otwory ukazują nam halę kościelną i kolumnady, jakby w podziemiu utajonej budowy. Nad nami niebo niebieskie, przed nami morze dalekie, a wokoło ruin i wieżyc gromady! To poemat cały! Spoglądając na kościół zewnątrz, spostrzegamy na stojącym zrębie szczytowej fasady dwa wielkie okna okrągłe prześlicznej kamiennej roboty. Legendowe to są i pełne fantastycznych wspomnień te fasadowe okna *św. Mikołaja*, o których rozliczne sagi i stare nawet kroniki cuda bajeczne opowiadają. W środku tych okien, wedle podania, osadzone były dwa bajecznej wielkości czerwone rubiny, tak zwane karbunkuły, które wśród nocnej cieni jakby dwa krwawe słońca świeciły, a morskim nawet żeglarzom przewodnią były z oddali gwiazdą. Kronika opisuje, że klejnoty te pilnie były strzeżone. Dwudziestu czterech stróżów otaczało kościół śród nocy, a wedle prawa miejskiego nie wolno było po zachodzie słońca pod karą zbliżyć się do kościoła poza oznaczoną granicę. Wedle legendy wartość tych olbrzymich karbunkułów świecących była bajeczna, nieoceniona, miała to być sława i duma *Gotlandyi*, o której po całym świecie rozpowiadano. W czasie rabunku *Waldemara*, kiedy złupiono miasto i zagrabiono skarby kościelne, pokusił się o ten skarb nad skarby tyran nienasycony. Karbunkuły zabrano i złożono na okręcie, aby z bogactwami kościelnemi przewieźć do Kopenhagi. Gdy dokonano tego świętokradztwa, powiada legenda, całe miasto było w poruszeniu i trwodze. Karbunkuły te były święte, a poświęcone Bogu miały mieć moc cudowną. Im to przypisują zatonięcie okrętów, uwożących skarby przez *Waldemara* zabrane, a saga ludowa w pieśniach gminnych nam opowiada, że wśród ciemnej nocy często na morzu świecą się wody, że łuna krwawa z topieli wstaje i widno w głębi, heń na dnie morza, dwa karbunkuły.

Legenda o takich karbunkułach nie jest odosobnioną fantazyą gminną *Gotlandu*, spotykamy ją gdzieindziej także i może być bardzo, że z obcych legend zapożyczona. *Schöning* w opisie katedry w *Drontheim* opisuje nam także legendę, że na wieży wmurowany był taki karbunkuł promienny, który rozświecał całą okolicę. Uczony *Lipsius* przywodzi z kroniki *biskupa Konrada*, że w *Moguncyi* był swego czasu olbrzymi krzyż drewniany, do którego przybity był szczerozłoty *Zbawiciel* kolosalnych rozmiarów. Oczy *Chrystusa* wielkości strusiego jaja miały przedstawiać dwa takie karbunkuły, które jaskrawo świeciły w nocy, jako symbolika, że *Oko Pańskie* wszelkie ciemności przejrzy, że wszystko widzi, że nic się przed nim ukryć nie może. Legenda legendą, poezya poezyą, ale, że w każdej bajce jest cokolwiek prawdy, gdy się jej szuka u źródła, zdaje nam się, że fantazya tych cudownych świateł była po prostu w oczach zabobonnego gminu wieków pierwotnych urobioną na bardzo naturalnych podstawach. Owe okna jaskrawe, gwiazdy wieżowe, z ócz Chrystusa cudowne rzucające światło, były to kunsztowne szkła kolorowej lampy, rodzaje transparentów, poza któremi zakonnicy tajemne utrzymywali światło; a nieznane nikomu urządzenie trzymając w sekrecie, zyskiwali u ludu zabobonne poszanowanie, z którego fantazya złotą przędzę pieśni i sagi w bajeczki snuła ludowe.

Tuż obok kościoła wznosił się wielki gmach klasztorny, z którego nawet śladu ruiny nie pozostało. Kilka dziś domów i kilka ogrodów rozłożyło się na tem miejscu, ale żywem świadectwem pozostały legendowe podziemia, dziś jeszcze daleko rozchodzące się krużgankami powiązane sklepy, które, jako ciekawość dawnej pracowitości ludzkiej, zwiedzić warto; zastanawiają bowiem obszarem i silnemi sklepieniami, które przechowały się dotąd. W podziemiu tem echo jest bardzo silne i robić może wrazenie, pod którego natchnieniem niejedną tu ułożono legendę o upiorach, o skarbach zaklętych i t. p. podaniach gminnych, których tu bardzo wiele.

Takie skarby nieprzebyte
W tych podziemiach tu ukryte,
Złotą przędzą ducha tkane
I fantazyą haftowane,
Tajemniczem echem płyną
Zapomnianych lat dziedziną,
Jakie dusza śni i marzy,
Gdy w ruiny się odważy,
Które jeszcze wam otworzę,
Gdy ostatni obraz złożę.

III.

Z pochodnią wspomnień przez gruz i łomy
Idziemy dalej w święcone domy,
Przed połamane ołtarze święte,
Pośród ruiny, bluszczami spięte,
I w ciemnych grobów zimne sklepienia
Po przedwiekowe sny i marzenia,
Jakiemi pieśnią płyną w niebiosy
Skandynawskiego poety głosy,
W których, żegnając Gotlandu brzegi,
Zamknę obrazów moich szeregi.

Z taką pochodnią wspomnień wstępujemy dzisiaj w tajemnicze podziemia po Dominikańskiej ruiny kościoła i klasztoru św. Mikołaja, któreśmy po szczególe zwiedzili.

Zapuszczając się w wilgotne i ciemne krużganki i korytarze — w duchów i grobów milczącą krainę — wśród gruzów i łomów — po rozwalonych trumnach, omszonych kościach i walającym się prochu zmarłych — ostrożnie — coraz ciemniej i głębiej w podziemne udajemy się dziedziny. Cicho i smętnie dokoła w tej przedwiekowej kostnicy świata, kędy śmierć-gospodyni, w pieluchach ziemi uśpione pokolenia kołysząc, wieczystym hymnem „*Memento mori*“ nam zaśpiewała i zimnym oddechem dreszczów w ramiona swe obejmuje.

Sine mury wapienne szarą zielenią mchów tajemniczych pieśni, zimne, jakoby oddech zbliżającej się śmierci, powiewnym chychotem i zgrzytem przedzierającego się wiatru przejmujące, jakieś nadnaturalne i dziwne echo, powtarzające za nami szelest kroków i każde nieomal westchnienie działają tu na fantazyą, onieśmielając nas w tem podziemiu, którem daleko się zapuszczając, podziwiamy w milczeniu ogrom pracy ludzkiej, która sklepienia i krużganki te zbudowała. Dzisiaj podziwiamy je tylko w części, o ile się przestąpić dają, nie mogąc zapuszczać się w tajemnicę nieznanej głębi, którą legenda tylko nas oprowadzi, dumką zamglonego wspomnienia tajemniczą wędrówkę do zapadłej już dawno wielkiej kaplicy św. Gertrudy nam przekazując, która jest dla wędrowca rzeczywistym podziwem. Imponująca to, wielka, prawdziwie bizantyńska ruina, fantastyczne widzenie jakoby dwóch ponad sobą zbudowanych kościołów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak żywić dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 27.)

Trentowski*), któremu nieznanym był jeszcze natenczas ów obecnie przy pomocy poprawnych mikroskopów i ulepszonych badań wykryty już szereg mikroorganizmów, w ustach n a p o z o r zdrowych ludzi się znajdujących, któremu dalej natenczas nie był nikt w stanie tak dokładnie przedstawić suchotniczych bacylli, jak to obecnie za pomocą rozlicznych metod u osób suchotami dotkniętych czynić się daje, powiedział w swej Chowannie:

„Nie dozwól, ażeby żona, a tem bardziej niańka, jak to zwyczajem, brała papkę pierwej do ust własnych. Czynią to kobiety przez wrodzoną zbytnią troskliwość, ażeby dziecię języka nie sparzyło, albo też kostki z papką nie dostało. Ostrożność jest tu potrzebna, ale w inny sposób zachować się daje. Mitrydates, któremu nie szkodziła żadna trucizna, ponieważ do niej przyzwyczaił się od młodości, otruł się własną śliną. Sławny Rudolfi zaręcza w fizyologii, iż ślina jednego człowie a jest pewną trucizną dla drugiego, iż ślina najzdrowsza trąci jadem, gdy kto jest w gniewie, lub zmartwieniu, iż ślina dorosłych, a szczególniej starych, szkodzi dzieciom. Wiadomo, że jad grzechotnika i żmii, że wściekłość psa przemieszkuje w ślinie. Najmocniejszą trucizną średnich wieków, zwaną a q u a t o p h a n a, robiono ze śliny za nogi powieszonego człowieka. Ślina złośliwej kobiety, wedle dawniejszej magii naturalnej, ma zabijać. Jeżeli żona, lub niańka ma skryte suchoty, cóż będzie z dziecięciem? Sam czyn wznieca obrzydliwość etc.“

Tyle to użyć musiał na owe matki i niańki słów i argumentów Trentowski, aby je odstraszyć od tej tak niebezpiecznej dla dziecka troskliwości. Nam wystarczają obecnie na ten cel wyniki badań drobnowidzowych, godzących się na to, iż w ustach ludzkich, a zwłaszcza u osób niedbających wiele o porządek, znajduje się znaczna liczba mikroorganizmów, z których wiele jest chorobotwórczych. Drobnoustroje te dostają się z powietrza z potrawami do ust, gdzie najkorzystniejsze dla swego rozwoju znajdują pole, suchotnicze zaś laseczniki przedostają się tamże z płuc, krtani, lub połyku nielitościwą tą chorobą dotkniętej istoty.

Niejako powszechnym błędem w żywieniu dzieci, a który tu nam także wytknąć wypada, jest, iż im na uspokojenie, lub też i z innych powodów cukierki, ciastka, konfitury itp. się daje. Zwyczaj ten źle wpłynąć musi na zdrowie i jest szkodliwym pod względem moralnym.

Wspominaliśmy już, iż pożywienie podawać się winno w regularnych czasu odstępach, i aby dziecko w pozostałych godzinach wstrzymywało się od wszelkiego pokarmu. Żołądek i kiszki potrzebują i tu tak samo, jak i u osób dorosłych, czasu na strawienie, czyli na wydobycie odpowiednie i następne wssanie części pożywnych i dla ciała przydatnych z powierzonych im potraw, a w czynności tej przeszkadzać sobie bezkarnie nie pozwalają przez niepożądane nowe dodatki.

Tylko wtenczas odbywa się trawienie prawidłowo, skoro narzędzia ku temu służące odpowiedni mieć będą odpoczynek; w przeciwnym razie ogólne naruszenie zdrowia łatwo nastąpić może.

Tylokrotnie spotykaliśmy dzieci już chodzące, które przez rodziców zbyt pożywnemi potrawami karmione, wychudły i wynędzniały w skutek zaburzeń w całym przewodzie pokarmowym, a nerwowo rozdrażnione do potęgi, były im i całemu otoczeniu ciężarem.

*) Bronisław Ferd. Trentowski. Chowanna Ed. II. Tom I. Poznań. Strona 372.

U dzieci tych zupełną trzeba było w ich odżywieniu uczynić zmianę, przechodzić stopniowo i wolno od pożywek najlżejszych do silniejszych i dopiero na tej drodze, przy pomocy środków lekarskich, aptecznych i kąpieli, na tor zdrowia poprowadzić je było można. Że przeprowadzenie zadania tego tak dla rodziców, jak i dla lekarza nie jest łatwem, a dla dziecka z razu bardzo przykrem, przyznać każdy nam winien.

Za nić przewodnią niechaj posłużą tutaj troskliwym opiekunom dzieci słowa Kosmowskiego*) następne:

„Nie można z jakości i ilości pokarmu, wprowadzonego do żołądka, wnosić o pożyteczności jego dla organizmu, ponieważ dla organizmu korzystna jest tylko ta część pokarmu, która się trawi i przyswaja. Stąd dla wzmocnienia sił najlepiej używać jest pokarmu bogatego w takie części składowe, których właśnie organizm potrzebuje i przytem używać go w ilościach, odpowiadających stanowi organizmu.“

„Nie uważamy za stosowne oznaczać ilości pokarmu, niezbędne dla każdego wieku, lub wagi dziecka. Rozmaita indywidualność, rozmaita siła trawienia, warunki, w jakich znajduje się dziecię, sposób życia, jaki prowadzi, wymagają rozmaitych zmian w ilości pokarmu nietylko u rozmaitych indywiduów tegoż samego wieku, lecz i u tegoż samego indywiduum, które nawet w różnych dniach nie znajduje się w jednakowych i podobnych warunkach dla przyjęcia i przyswojenia sobie pokarmu. Jedną, najważniejszą okoliczność przy rozdziale pokarmów dzieciom winny pamiętać matki: to jest, nie powinny kierować się samym tylko apetytem dzieci, lub, co gorzej, namawiać je do jedzenia. T y l k o s t a r a n n a o b s e r w a c y a f u n k c y i t r a w i e n i a, s t a n o w i ą c a p i e r w s z y o b o w i ą z e k k a ż d e j m a t k i, j e s t j e d y n y m i p r a w d z i w y m r e g u l a t o r e m p r z y k a r m i e n i u d z i e c i.“

Na postawione pytanie: „jakie są najodpowiedniejsze pokarmy dla drugiego dziecięctwa?“ każe prof. Bednar zapytać naturę, i wywodzi następnie, że najbardziej kwitnący stan zdrowia znajduje się u indywiduów, których pożywienie głównie z materyi roślinnych się składa, a nawet tych, którzy wyłącznie roślinami się żywią. Wnosząc z łagodnego charakteru ludów pasterskich, jako i z zmiany charakteru drapieżnych zwierząt, wywołanej przyzwyczajeniem ich do roślinnych pokarmów, uważa on łagodność i uprzejmość pasterskich narodów za produkt mleka i owoców, które ich pokarm stanowią.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawnictwa wielkopolskie

(Ciąg dalszy.)

— **Ofiara dziatek** przez A n. Z o f. Dochód przeznaczony na „Bank ziemski“ w Poznaniu. Poznań, nakładem autorki. Drukarnia „Dziennika poznańskiego“ 1887.

Nieco wcześniej od wymienionych dotychczas wydawnictw wyszła książeczka o 36 stronach objętości pod powyższym tytułem. Zawiera ona cztery prześliczne, dłuższe wierszyki, a raczej powiastki, wierszem opowiedziane z krótką przedmową: „Do dziatek polskich,“ w której szanowna Autorka, przypominając oznaczony w tytule cel książeczki, w takich słowach zachęca małych czytelników do jej nabycia:

Z miłością ku wam pisane te słowa.
Książeczka mała, ale c e l j e j w i e l k i.
Trochę też prawdy w kartkach swoich chowa,
Więc k s i ą ż k ę kupcie, dziatki, n i e k a r m e l k i.

*) Dr. Wiktoryn Kosmowski. Op. cit. Strona 218.

A jeśli ujrzę, że choć grudka ziemi,
Tej naszej wspólnej ukochanej matki,
Uratowana siłami waszemi,
Rzeknę z radością: mamy polskie dziatki.

We wszystkich czterech następujących powiastkach wszędzie przebija myśl piękna i szlachetna, wszędzie jakaś nauka, lub rada, bo wszędzie uwydatnione najmilsze i najwłaściwsze dziecięcemu wiekowi zalety i cnoty: pobożność, uległość i posłuszeństwo, litość, poświęcenie, miłość bratnia, a pośród nich dla lepszego kontrastu w „Nygusku“ przedstawione lenistwo i jego skutki, w „Groszu babuni“ zaś siła pokusy i upadek w postaci łakomstwa, które biednej wdowie zabrało grosz, dla niej przeznaczony; na wspomnienie tego przestępstwa w późnej starości rumieni się jeszcze dawna mała grzesznica:

„Czas jak na skrzydłach ulata z szybkością,
Ja w piękną, dobrą wyrosłam dziewicę,
Dla biednych zawsze wylana z litością,
A grosz ten wdowy jeszcze palił lice.
O! czemuś, stróżu-aniele jedyny,
W chwili tak ważnej nie strzegł mnie od złego?
I nie powstrzymał grzeszącej dzieciny,
Nie chronił duszy i serduszka mego?...
Jedyna jedna chwilka zapomnienia,
Jedyny jeden podszept złego ducha!
Patrzcie, dziateczki, jak przykre wspomnienia
Sprawia, kto złemu raz nadstawił ucha.
Dziewczę w niewiastę poważną się zmienia,
Litość jej znają i starzy i mali,
Lecz uśpić swego nie może sumienia
I grosz ten wdowy jeszcze dłoń jej pali.
Czemuż nie mogę dać życia połowy,
By wszystkie nędze, jakie są na świecie,
Wesprzeć, a wśród nich odnaleźć tej wdowy,
Którą skrzywdziło o grosz jeden dziecię?
Dzisiaj me włosy gołębiej białości,
Wokoło biedni błogosławią dłoni,
Która ich wspiera, znaną jest z litości,
A mnie się z wstydu jeszcze lice płoni.
Dziateczki moje, w każdej życia chwili
Od wszelkiej plamy chrońcie swe sumienie
I powtarzajcie, byście nie zbłądzili:
„Ojcze nasz, nie wódź nas na pokuszenie!“

Umyślnie przytoczyliśmy dłuższy ustęp z ostatniej powiastki, aby czytelnik mógł osądzić, że nietylko myśl wzniosła, nietylko moralne podnosi go znaczenie, ale także zręczna, nadobna forma wiersza, wywołująca korzystne wrażenia w świeżym i delikatnym umyśle dziecka. Dobre, zrozumiałe, a piękne wierszyki dla dzieci nie są rzeczą obojętną w pedagogice, te zaś, które mamy właśnie pod ręką, śmiało postawione być mogą obok wierszy Jachowicza, lub Jana Chęcińskiego. Całem sercem polecamy je też matkom i osobom uczącym; dadzą one sposobność do poruszenia z wychowańcami niejednej poważniejszej kwestyi, do zwrócenia im uwagi na różne położenie w życiu, na prawa i obowiązki człowieka.

Pracę tę piękną i pożyteczną kończy wierszyk: „Pożegnanie dziatkom,“ w którym szanowna Autorka prosząc dziatki „o gościnę“ dla swych czterech powiastek, a zarazem „o grosiki i grosze“ na określony we wstępie książeczki „cel wielki,“ wypowiada ostatecznie chęci swoje szczere pisania więcej dla dziatek, ale nieprędzej, aż one same po wierszyki się zgłoszą:

„Chcę was pożegnać słówkiem: Do widzenia!
Bo jeszcze dziatek wiele, bardzo wiele
Znałam — i różne widziałam zdarzenia,
Z któremi chętnie się z wami podzielę.
Ale nieprędzej wyślę do was gońca,
Nieprędzej piórko swe umaczam, dziatki,
Tylko jeżeli tej książeczki końca
Się doczytacie, a dalsze swe datki
Chcąc znowu kiedyś ponowić w ofierze,
Same się do mnie o książkę zgłosicie!
Wtedy mi, dziatki, wypowiedzcie szczerze,
O jakich dzieciach wy słuchać wolicie:
Czyli mam dla was wydobyć z ukrycia
Szlachetnych czynów nieznane wam dzieje,
Czyli też wydać z dziecięcego życia
Wady, nałogi i błędne koleje?...
Zaczekam zatem spokojnie cierpliwie,
Jakie też od was nadejdą mi wieści,
Tymczasem, dziatki, czytajcie gorliwie
Dla naszej ziemi pożytku i cześci.“

Nie wątpimy, że na tak serdeczne wezwanie byliby już dawno niejedni z małych czytelników zgłosili się po nową seryą wierszyków, ale pytali zapewne: kto jest autorką?... gdzie mieszka pani An. Zof.?... Tajemnicy tej zdradzić nam nie wolno, lecz prosimy ze swej strony dziatki, które pragną nowej pouczającej i zajmującej seryi wierszyków, aby listy swe do Autorki przesłali redakcyi „Domu polskiego.“ My chętnie podejmiemy się wręczyć je pani An. Zof., a najpiękniej napisane zamieścimy nawet — za Jej pozwoleniem — w łamach pisma naszego.

(C. d. n.)

Promyki.

Ile razy nową zrobimy znajomość, tyle razy zaopatrzmy się w nieskąpy zapas przebaczenia, wyrozumiałości, słodyczy.

Bóg nigdy nie zsela bólu nad siły: jeśli cierpieć każe, to dla tego, że cierpienie było ci potrzebne; On je do sił twych stosuje z pieczołowitością matki, wymierzającej przykre lekarstwo dziecięciu swemu.

Człowiek lepszym się staje, gdy w sercu jego wesele panuje. — Ale wesele to nie śmiech, to nie dowcipne słowa, wesołe odpowiedzi, to.... jednostajna pogoda na czole.

Ideałem szczęścia serca szlachetnego — to domowe ognisko, to ciche, święte rozkosze rodzinne.

Kiedy jesteś sam, myśl o swych wadach, gdy się znajdujesz w towarzystwie, zapomnij o wadach drugich.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.